

Paweł Głowacki

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

Szanowny panie Jerzy!

W pierwszych słowach mego listu chcę powiedzieć, że ja, szara mysz wyborcza, martwię się o pana!

Parlamentarny krawiec dał w igłę. Widział pan to? Rano Yves Saint Laurent robił, co mógł (o ile szaty naszej władzy konstruuje Yves Saint) – a po południu premier ostateczną wypowiedź o wicepremierze Lepperze do natychmiastowego uwierzenia narodowi via TV podawał. Sledził pan tę jazdę intelektualną? Gdy premier wygłaszał, przypominały mi się wszystkie grzechy moje... Mniejsza z tym.

Gdy, niwelując Leppera, Demostenes zdobywał fundamentalne słowo „warchoł” – usłyszałem: „warhoł”. Nic na to nie poradzę. Usłyszałem legendarne, przyduchowe „hy!” Ucho nie złowiło kluczowego „cy”, bo w miejscu „cy” ucho złowiło trzask szwu na karku Demostenesa! Tak, Yves Saint Laurent nie znalazł nici godnej myśli retora. No i puściły szaty w czwartek. A może miałem omamy Trąbki Eustachego?

Jeśli jednak boskie szaty istotnie puściły, niechaj ci, co szują, wiedzą, iż są na świecie karki nie do okiełznania. Niech Yves Saint pojmie, że władza, na której nie leży żadna odzież, to władza nie z tego świata. Całkiem jak Siemon Jepichodow – postać nie z rzeczywistości, bo wymyślona przez Antoniego Czechowa. Jepichodow! Czego by ten „premier” wiecznych fiask na płetwy swe nadzwyczajnie niecelne nie wzuł, albo i wzuł – wiekopomnie skrzyphiał w „Wiśniowym sadzie”. Nawet jak siedział! Nawet jak spał! Nawet jak go nie było!

A skoro już jesteście przy teatrze, panie Jerzy, wróćmy do istoty mego listu. Podobno nie bardzo wiadomo, gdzie naprawdę rzeński teatr dziś jest – w TV, w życiu, w gazecie, w teatrze jako takim czy też w... No, gdzie? Spekulują domorośli relatywiści. A ja przypomnę starą prostotę: jeśli człowiek słyszy, że „obiad” to „obiast” – musi

iść do teatru. I poszedłem. Na pana „Pyzę...”

Powtarzam: martwię się o losy pana. Byłem, widziałem, jak dziecko się bawiłem – i już wiem. Otóż, jakby minister od patriotyzmu Roman Giertych był tam ze mną, gdyby zobaczył wyreżyserowaną przez pana „Pyzę na polskich drózkach”, to na niwie patriotyzmu miałby pan w Sejmowej Komisji Etyki – przerabane. Za lekko, panie Jerzy! Nie według mnie za lekko, ale według tych, co dziś kciuka w dół albo w górę kierują – stanowczo za mało koturnowo.

Zamiast z wierszowanych opowiastek Hanny Januszewskiej mszę za bitwę pod Grunwaldem zrobić, miał brokatem wąs Ziobry krasieć, zamiast spływ Dunajcem pokazać jako jazdę po ocaleniu Polski – zrobiłeś pan spływ po patriotycznej lekkości.

Żadnych koturnów. Cienia zadęcia. Najlichszych wiatrów, co się w fale Mazurka Dąbrowskiego czule układają. Gdy u pana, wedle podróźniczego zamysłu Januszewskiej, aktorzy i tancerki słowo po słowie, nuta po nucie, piruet po piruecie Polskę okrążali z lekkością motyla – czułem, że to ludzie, co wiedzą, iż dziadek Pyzy w 1410 na trawach pod Grunwaldem nie był Ulrichem von Jungingenem.

Mieć na karku komisję sejmową w sprawie krzyżackich przodków Pyzy... Cóż, nie zazdroścę. Ale zazdroścę dzieciom. Zrobiłeś pan dwugodzinną śpiewogrę, która jest pełna Polski – przyjemnej. Żadnego stawiana na baczność, żadnych łez wielkości dzwonu Zygmunta, żadnej nachalnej obowiązkowości. Dwie godziny delikatnej gry z konwencją rocznicowych akademii. Teatralne wędrowanie po Polsce, która nie jest, Boga chwalić, żadnym ołowianym obowiązkiem zbiorowym, jeno czystą radością. Pojedynczą radością każdego z nas z osobna.

Krótko mówiąc, martwię się o pana, bo w kraju, gdzie obowiązują nie „obiady”, jeno „obiasty”, teatr, w którym obowiązuje „pyza”, a nie „pysa” – może być spalony. Nie zmienia to jednak faktu, że bez względu na grozę sztandarów i hymnów, po pana baśni wędrującej chłopcy pragną do wsi Grunwald jechać nie po to, by na kolana paść, lecz by gorzały się napić. Bani łakną nie ku czci Jagiełły, lecz w sprawie takiej oto, że pic się mianowicie chce. Amen.

Teatr Ludowy. „Pyza na polskich drózkach” wg Hanny Januszewskiej. Reżyseria Jerzy Fedorowicz. Opracowanie muzyczne Jerzy Kluzowicz. Scenografia Elżbieta Krywsza.

PS Z drukowanego u nas listu Krzysztofa O. – dyrektora naczelnego i artystycznego Teatru im. J. Słowackiego – listu tyczącego mego felietonu o przedstawieniu „Nocny azyl”, wynika niezbicie, że Krzysztof O. jest niewinny. No i chwalić Boga! Raduje mnie, że Krzysztof O. uniknie aresztu, ale martwi, że w polemice z moim pisaniem pięknie ocalały Krzysztof O. używa określeń: takt i kultura. Na miejscu Krzysztofa O. – który z racji pełnionej funkcji odpowiada za „takt” arcydzieła „Opera za trzy grosze” oraz za „kulturę” perły „Miarka za miarkę” – kategorii „taktu” oraz „kultury” nie używałbym nawet w polemice z psem Pluto. I rzecz finalna. Krzysztof O. ma do mnie wyraźne anse, to kto wie? Że nie jestem Boyem, to i nie jestem Słonimskim. Cóż począć... Powinien pan mieć presję do rodziców, a nie do mnie. Jakby się pańscy rodzice pospieszyli, to kto wie? Może ansambl przez pana prowadzony szatkowali by na zmianę Boy i Słonimski?... Jest jak jest. Dziś już nic nie da się zrobić. Dzieła pana szatkował będę ja. Spokojnie. Będzie dobrze. I proszę się nie lękać. W istocie – delikatny jestem. Nawet pan nie poczujesz, że już po ptakach...

Pyza znów wędruje, tym razem na deskach Teatru Ludowego

Dziecko w nas

■ MONIKA FRENKIEL

O tym, że zapomnieliśmy o przeszłości i tradycji, wiemy. I nie ubolewamy za bardzo. Dopiero przypadkiem dowiadujemy się, że... przecież szkoda. Ja przekonałam się o tym, oglądając premierowy spektakl „Pyza na polskich drózkach” na deskach Teatru Ludowego w Krakowie.

„Pyza...” cudowna bajeczka dla dzieci napisana przez Hanę Januszewską ponad 50 lat temu, przeżywa swój renesans. Głównie dzięki wznowieniu książkowej wersji tej historii. I okazuje się, że polska tradycja, polska natura, prosta i szczerą, dziecięcy zachwyt nad światem, przemawiają tak samo mocno jak pół wieku temu. W „Pyzie...” nie ma komercji, koncertowej walki interesów, podprogowej reklamy i wszechobecnej techniki. Jest za to szczerosc wyrazu i zabawa. Ludyczność bez nadmiernego intelektualizowania.

Multimedialne widowisko, jakie zobaczyłam na dużej scenie Teatru Ludowego było... dobre. Tak po prostu. W tekst Hany Januszewskiej wpleciono legendy, podania, ludowe – i nie tylko – piosenki. Przyspiewki takie, które znamy, lubimy, choć wydawało nam się, że daw-



Pyza wciąż się wszystkim podoba

FOT. SEBASTIAN STRAMA

no już o nich zapomnieliśmy. Radosna, pszenicznowłosa Pyza w łowickim pasiaku po prostu dobrze się bawiła, a razem z nią – publiczność.

To właśnie w spektaklu „Pyza na polskich drózkach” jest chyba najlepsze. Jak zrobić bajkę, żeby dobrze się na niej bawiły i dzieci, i ich rodzice, i nawet dziadkowie, zmuszeni do siedzenia na widowni? Jerzemu Fedorowiczowi powiodła

się duża sztuka – odnalezienia w każdym z nas dziecka. Jeśli bowiem w tym samym momencie tak samo reagują pięcioletni i pięćdziesięcioletni, to znaczy, że udało się znaleźć w nas pewien wspólny punkt. Krainę dziecięcych marzeń, kiedy zachwycała nas byle kijanka płynąca potokiem, a pomnik Syrenki z mieczem nad brzegiem Wisły był pretek-

stem do snucia w wyobraźni niesamowitych historii.

Czy warto pójść na „Pyzę...”? Zdecydowanie tak. Jeśli się wstydzimy sami, weźmy dziecko sąsiadki. I bez obaw razem z nim w ciemnościach tupmy do oberka i mazura, podskakujmy razem z końskim zaprzęgiem z Kujaw, i śpiewajmy „Pije Kuba do Jakuba”. ●

Pocztówka from Poland

Premiera „Pyzy na polskich drózkach” w Teatrze Ludowym

•• „Płynie Wisła płynie... Polska nie zaginie” i ogromna fotografia orła w tle – to pocztówka from Poland, którą wysłała za ocean Teatr Ludowy.

Wieś śpiewa i tańczy - tak należy podsumować „Pyzę na polskich drózkach” w Teatrze Ludowym. Chociaż dziewczęta z baletu tańczą całkiem niezle, nie są w stanie uratować honoru aktorów, którzy ruszają się dość pokracznie. Co gorsza, próbują śpiewać do tych jakże skomplikowanych tanecznych układów. Połączenie tych dwu sztuk jest niezmiernie trudne, dlatego aktorzy zaledwie poruszają ustami do nagranych wcześniej słów i melodii. Najsmutniejsze jest to, że nie nadążają. Iluzja znika, kiedy jeden z aktorów wkłada sobie różę w usta, podczas gdy został mu do odśpiewania jeszcze jeden refren ludowej piosneczki. Zresztą również nagrania są bardzo słabe, a kiepskie nagłośnienie sprawiło, że wszelkie kro-

ki w baletkach były słyszalne w ostatnim rzędzie. Nawet projekcje komputerowe - przedstawiające krajobrazy lub zamknięte przestrzenie - będące jedynym elementem scenografii, nie były szczególnie interesujące, a w dodatku bardzo blade.

Spektakl Jerzego Fedorowicza został przygotowany specjalnie dla chicagowskiej Polonii; w gruncie rzeczy mamy do czynienia ze zbiorem informacji o dziejach Polski, geografii i sztuce. W ostatnim dziale zmieszczył się tylko Chopin, ale pojawiła się również wzmianka o Janie Pawle II, więc dopowiadam sobie, że Karol Wojtyła był dramatopisarzem i aktorem Teatru Rapsodycznego. Konstrukcja spektaklu jest prosta, przewidywalna i przez to niezmiernie nudna. Pyza bądź jej przewodnicy mówią kilka słów o miejscu, w którym się znajdują (a cały czas znajdują się na pustej scenie), po czym następuje piosenka

ludowa. I tak przez dwie godziny z krótką przerwą.

Czego mogą się o nas dowiedzieć nasi rodacy za wielką wodą? Ano, że w naszym kraju chodzi się w czerwonych krakowskich kozaczkach lub w kierpcach. Że posługujemy się kilkoma dialektami, kiepsko i chętnie śpiewamy sentymentalne, acz skoczne góralskie piosneczki. No i że Toruń słynie z pierników - nie z Kopernika. Czy tak naprawdę wygląda nasza rzeczywistość? Gdybym obejrzała ten spektakl w Chicago, wysłałabym do Polski najwyższą babcię do gospodarstwa agroturystycznego. Jerzy Fedorowicz nie miał żadnego pomysłu na spektakl. Projekcje zdjęć, ludowe stroje i piosenki to za mało. Jakieś dziecko spytało w końcu mamę - „co to jest?”. Pytanie było słuszne. Mama powiedziała maluchowi, że idą do teatru, a „Pyza na polskich drózkach” to żaden teatr. ●

MARTA KUŹMIAK

Gazeta Wyborcza, Kultura, 26. 09. 2000

PYZA ROZBUDZA PATRIOTYZM

Takiego entuzjazmu dawno już w Teatrze Ludowym nie widziałem, zarówno wśród dorosłych, jak też małych widzów, dla których przede wszystkim to przedstawienie zostało przygotowane. Najpierw jednak wykonawcy wyczarowali piękną, normalną, życzliwą Polskę, przez którą wędruje Pyza. Idzie ona przez nieomal wszystkie regiony, poznając po kolei ich historię, tradycje, zwyczaje, sztukę ludową, cały ich urok. Asystują jej aktorzy, którzy wspólnie z baletem wywijają hołubce, aż miło patrzeć. Bo aktor powinien, jak futbolista, przede wszystkim ruszać się na scenie i to w miarę żwawo. Tym razem obok ruchu dominował także śpiew. A wszyscy śpiewali czysto, od serca. Reżyser Jerzy Fedorowicz zrobił z „Pyza na polskich dróżkach” (na podstawie baśni Hanny Januszewskiej) śpiewogrę. Główna bohaterka Pyza została zagrana przez Martynę Malcharek, jeszcze na studiach w PWST, z pełnym zaangażowaniem i szczerością, na jaką stać tylko młodą, niezepsutą nabywanymi w miarę lat manierami i nawykami na scenie aktorkę. Wszystko zaś dzieje się na tle kapitalnych zdjęć polskich krajobrazów wykonanych przez Adama Bujaka.

To rzeczywiście barwna lekcja polskiej geografii, historii i przyrody, w dodatku podana naturalnie, pozwalająca zaszcześcić w młodych czy nawet zupełnie małych widzach uczucie, że mieli jednak szczęście urodzić się w pięknym kraju, a w starszych jeszcze raz wzbudzić miłość do ojczyzny. Widać trzeba było, aby reżyser został posłem i naoglądawszy się potępięczych swarów i występów zakompleksionych naturszczyków zrozumiał, że poza Sejmem żyją zupełnie inni, normalni Polacy, którzy nie bacząc na wstrząsy na politycznej scenie potrafią po prostu swój kraj kochać i nawet podziwiać, a czasem mieć dobry humor, jak wspomniana Pyza.

W sztuce oprócz Martyny Malcharek wystąpili Krzysztof Górecki, Jacek Joniec, Jan Nosal, Piotr Piecha i Jacek Wojciechowski, balet Krakowskiej Akademii Tańca. Autorką znakomitej choreografii jest Monika Myśliwiec, scenografii Elżbieta Krzyw-
sza, a twórcą opracowania muzycznego Jerzy Kluzowicz.

RYSZARD DZIESZYŃSKI

GTos
Typo druk
Nasobudni
23.09.06